

## NAJUBOŹSI ODKRYWAJĄ PRZED NAMI NIEPODZIELNOŚĆ PRAW CZŁOWIEKA\*

Ojciec Józef Wrzesiński zmarł przed ukończeniem ostatecznej wersji poniższego tekstu, będącego jego wkładem w fundamentalną refleksję na temat Praw Człowieka. Przed swym ostatnim wyjazdem do szpitala, wyznaczył strukturę i części składowe swego zamysłu, wskazał miejsca wymagające pogłębienia. Ostatniej korekty dokonaliśmy pod jego dyktando, pewni, że nie wypaczamy subtelności jego myśli, respektując jego skrupulatność w doborze słów.

Zetknąć się z Ojcem Józefem za pośrednictwem tego dzieła, to spotkać na swej drodze człowieka, który od lat młodzieńczych w JOC i przez całe swoje życie w kapłaństwie szedł nieustannie naprzód w swoim zrozumieniu i w swojej działalności na rzecz niezwywalnych praw i przywrócenia ich najuboższym. Który w siedemdziesiątym pierwszym roku

---

\* Przyczynek Ojca Józefa Wrzesińskiego do fundamentalnej refleksji Państwowej Komisji Doradczej Praw Człowieka, z okazji dwóchsetnej rocznicy Rewolucji Francuskiej (1989). Źródło: Commission Nationale Consultative des Droits de l'Homme, *1989 – les Droits de l'Homme en question*, „La Documentation Française”, Paris 1989, s. 221-237.

życia uważał, że ma jeszcze wiele do zrobienia. Który nie zadowolął się nigdy swoimi osiągnięciami, zwracając się nieustannie ku najuboższym, aby jeszcze więcej się od nich nauczyć.

Pojąc Prawa Człowieka dzięki tym, którzy są ich najbardziej pozbawieni, przystąpić wspólnie z nimi do ich wcielania w życie – to była w jego oczach najpewniejsza droga do społeczeństwa gwarantującego stały postęp, bowiem będzie to społeczeństwo, które potrafiło wybrać sobie najlepszych przewodników.

Zostawił nam żarliwe życzenie, by obrońcy Praw Człowieka nieustannie pogłębiali swoje zrozumienie tej nauki, jaką najubożsi przekazują nam o niepodzielności podstawowych praw każdego człowieka.

W imieniu wolontariatu ATD Czwarty Świat  
– *Claude Ferrand* (1989)

## Wstęp

Człowiek, jego posłannictwo, jego przeznaczenie – oto kwestie, które dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, są w centrum refleksji i walki świata. Czyż nie o to chodzi w debatach i zmaganiach, których przedmiotem są dzisiaj w tak szerokiej mierze Prawa Człowieka?

A jednak, w czterdzieści lat od ogłoszenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka przez ONZ, ich wprowadzanie w życie, jest ograniczone bardziej, niż się wielu spodziewało. Jest również dużo bardziej ograniczone, niż to sobie przez długi czas wyobrażaliśmy w naszych zachodnich demokracjach. Nie istnieje przy tym, jak sądziliśmy, podział na kraje, gdzie te prawa są przestrzegane i te, w których są one prze-



*Ojciec Józef Wrzesiński wśród uczestników spotkania  
ATD w Marsylii, 1976.*

strzegane w mniejszym stopniu lub wcale. Skrajne ubóstwo, wychodzące na jaw w krajach bogatych, które już zapomniano o jego istnieniu, rozumie się dzisiaj jako systematyczne łamanie całości fundamentalnych praw. A zatem poważne naruszanie Praw Człowieka ma miejsce we wszystkich krajach. I nie jest ono czymś, co zdarza się incydentalnie, lecz charakteryzuje w istotny sposób organizację życia wspólnoty narodowej i międzynarodowej.

Jest zrozumiałe, że Państwowa Komisja Doradcza Praw Człowieka, wdrożona od początku swego istnienia w analizę najbardziej różnorodnych sytuacji i odpowiedniego ustawodawstwa, nie mogła na tym poprzestać. Refleksja na temat samej podstawy praw uznanych za niezbywalne narzucała się tym bardziej, że brak jej było nie tylko we Francji, ale i w świecie. Pragnę wnieść w tę refleksję swój wkład, przedstawiając istotę tego, czego nauczyli mnie najubożsi. Miałem

przywilej dzielić ich życie i ich walkę, w Europie Zachodniej, w Afryce, w obu Amerykach, na Dalekim Wschodzie, i to jako człowiek urodzony w ubóstwie, a także ksiądz Kościoła rzymskokatolickiego. Chciałbym wskazać te ścieżki poszukiwań, na które społeczności pozbawione wszelkich praw naprowadziły mnie w ciągu mojego życia.

Spotkania te unaocznily mi przeżycia, które są udziałem wszystkich najuboższych – we wszystkich kulturach i na wszystkich kontynentach – a które ujawniają jedną i tę samą kondycję ludzi pozbawionych praw na całym świecie. Przeżycia te skłoniły ich do wybrania sobie nazwy „Czwarty Świat”, są oni bowiem ludem spoza wszystkich pozostałych „światów”, jakie ludzkość wykreowała. Pragnę też dać świadectwo sprzeciwu wobec skrajnego ubóstwa, sprzeciwu jego ofiar i tych, którzy opowiadają się po ich stronie. Sprzeciwu, który we wszystkich stronach świata zdaje się opierać na koncepcji człowieka jako tego, kto posiada prawo do odpowiedzialności i zarazem do dysponowania środkami, pozwalającymi mu podjąć tę odpowiedzialność dla dobra ogółu. Jest to koncepcja człowieka zintegrowanego wewnątrznie, a zatem podmiotu odpowiedzialności i praw, stanowiących niepodzielną jedność. Ale także człowieka nierozłącznie związanego z innymi, pełnoprawnego członka niepodzielnej ludzkości, w której także najuboższy powinien móc uczestniczyć we wspólnej misji.

Jak mówił niedawno Michel Mollat<sup>17</sup>, każdy istotny krok na drodze ku humanizacji świata, jakiego ludzie dokonali na przestrzeni wieków, miał swój początek w ich więzi z najuboższymi ich epoki. Dodajmy, że niestety ludzie szybko zapominają o tym, co w każdej epoce zawdzięczają najuboższym. A dziś zapomnieli zwłaszcza, jak się wydaje, że to im zawdzięczają koncepcję człowieka, według której rodzi się on równy in-

---

17 Historyk francuski, badający zjawisko ubóstwa w średniowieczu.

Najubożsi odkrywają przed nami niepodzielność Praw Człowieka 75

nym, wolny i z tego tytułu posiadający prawo do uczestniczenia w życiu wraz z innymi jako ich równy, wolny i odpowiedzialny partner.

Podsumowując, taka koncepcja istoty ludzkiej może być do przyjęcia dla wszystkich ludzi, bez względu na ich przynależność kulturową czy duchową. Patrząc przez pryzmat najuboższych, wszyscy ludzie mają do spełnienia tę samą misję: walczyć o prawo człowieka do uzyskania środków egzystencji i środków działania, odpowiadających jego prawdziwej godności.

## 1. Lud bez prawa zamieszkiwania na ziemi

Od najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa aż po dzień dzisiejszy, najubożsi jawią mi się jako rodziny – właściwie cały lud – którym zabronione jest zamieszkiwać świat należący do innych. Zamieszkiwać miasto, kraj, ziemię. Czy można bowiem nazwać „zamieszkiwaniem” ten rodzaj stłoczenia, gnieźdzenia się w norach, chronienia się, gdzie się da, gdzieś na peryferiach? Tak jak moja własna rodzina, która żyła w nędznym mieszkaniu, czy inni ludzie, których przesiedlono do dolnej części miasta Angers, do klitek na poddaszu, do kilku pomieszczeń wychodzących na podwórze, gdzie nigdy nie docierało słońce, do komórki bez okna na końcu korytarza, do sutereny, która nigdy nie była przeznaczona na pomieszczenie mieszkalne. Ludność ta – mieszkając tak nędźnie na tym świecie – była skądinąd uznawana za niegodną, żeby zamieszkiwać we wspólnocie z rodzinami mniej nieszczęśliwymi. „Nie odzywajcie się! Jak można traktować was poważnie, skoro żyjecie w taki sposób?”

Później, gdy jako wiejski proboszcz bywałem zapraszany na niedzielny obiad do jednego czy drugiego bogatego wieś-

niaka w mojej parafii, byłem świadkiem, jak wołano do stołu także sezonowych robotników rolnych. Przychodzili z pomieszczeń pozbawionych wygód, udostępnionych im na czas ich zatrudnienia. Zajmowali miejsca na końcu stołu, gdzie podawano im tylko zupę, podczas gdy goście otaczający gospodarza otrzymywali prawdziwy posiłek. Byli to robotnicy zamieszkujący w kolejnych miejscach, zawsze tylko tymczasowo, a ich status niedzielnych gości był zgodny z ich statusem ludzi biednych, zakwaterowanych byle jak i karmionych jak najmniejszym kosztem, tylko w okresie, kiedy byli użyteczni. Ci ludzie i ich rodziny z nadejściem zimy musieli chronić się w budzie ukrytej w lesie, we wnęce wymoszczonej ziemią i gałęzmi, wydrążonej na stoku wzgórza, żeby zabezpieczyć się przed opadami, albo w jakiejś opuszczonej szopie.

W końcu przybyłem do obozu dla bezdomnych w Noisy-le-Grand, na końcu świata, gdzie setki rodzin z ponad tysiącem dzieci żyły w „igloo” z fibrocementu, skądinąd przeznaczonych wyłącznie dla świń – i to tylko tymczasowo, bo kto mógłby zaakceptować na dłuższy czas ów „trąd” u samych bram Paryża? Tu także spotkałem rodziny traktowane raczej jako przedmiot działania, pomocy i kontroli, niż jako podmiot prawa. Rodziny mające jako jedyną tożsamość określenia negatywne: „aspołeczne”, „nieprzystosowane”, „ciężkie”, „z problemami”, jako że udało się je do pewnego stopnia pozbawić ich jedynej w miarę neutralnej nazwy: „bezdomni”.

Nastaly potem lata, kiedy – wraz z rozprzestrzenieniem się Ruchu ATD Czwarty Świat w świecie – moja droga wiodła przez Europę i wszystkie kontynenty. I wszędzie spotkałem się z tym samym: najuboższym odmawiano prawa do zamieszkiwania ziemi i do istnienia dla bliźniego. W wielkich miastach Ameryki Północnej spotykałem rodziny na ulicy, niemające już żadnej tożsamości rodzinnej z powodu upch-

nięcia, osobno dzieci i matek, osobno ojców, w „hotelach” pomocy społecznej... Spotykałem w Ameryce Łacińskiej rodziny, które uciekły ze wsi przed głodem, żeby zaczepić się gdzieś w ziemiance nad wąwozem, w pobliżu wielkiej metropolii. Narodziny i zgony u nich nie były rejestrowane, ponieważ ludzie ci nie mieli prawa znajdować się w miejscu, gdzie zamieszkanie było zabronione. Kiedy zdarzało się, że ulewa tropikalna pogrążyła w topieli lepiankę, bywało, że dzieci się urodziły, żyły i zginęły, nie istniejąc nigdy w żadnej ewidencji. Podobnie jak nie istnieją w rejestrach i statystykach narodowych i międzynarodowych rodziny osiadłe na bagnistym terenie nad zatoką, gdzieś na Antylach. Ponieważ przebywają tam bezprawnie, kiedy przyjeżdża buldożer, żeby przygotować teren dla innego celu, nikt nigdy się nie dowie o setkach ludzkich schronień, ubogich posiadłości, obróconych w pył. Nikt się nie zainteresuje, gdzie się tułają, gdzie się chronią w danym momencie rodziny, które nigdzie nie są pożądane.

Nikt również nie wie, co się stało z najuboższymi, najbardziej schorowanymi mieszkańcami wiosek na południu Sahary, zdziesiątkowanych przez onchocerkozę. Dotknięci ową „ślepotą rzeczną”, jako inwalidzi na resztę życia, musieli wraz z innymi udać się na wygnanie na tereny bardziej pustynne, gdzie nie będą w stanie się wyżywić. Co się stało z tymi najsłabszymi rodzinami, które nie mogły powrócić, jak ich sąsiedzi, do swoich wiosek, już oczyszczonych z zarazy w wyniku podjętej szeroko akcji międzynarodowej? Wiemy, że niektóre zostały wypędzone w głąb ciemnego stepu afrykańskiego, inne z kolei szukały zaczepienia w mieście, gdzie niewidomi w piątek wyciągali rękę po jałmużnę przed meczetem, a dzieci żyły na ulicy.

Co powiedzieć również o tych dzieciach ulicy, które na wszystkich kontynentach w krajach rozwijających się zebrzą

lub kradną, zarabiając na utrzymanie – swoje własne, a nieraz całej rodziny? Co powiedzieć o dzieciach nocujących w pobliżu rzeźni, które o świcie grzebią w wysypiskach odpadków? Jest to ostateczny nieubłagany rezultat nieludzkiego odebrania najuboższemu prawa zamieszkiwania ziemi. Rezultat, za który być może nie zawsze czujemy się, w państwach bogatych, wystarczająco współodpowiedzialni.

Czy jest jakaś istotna różnica pomiędzy tą nędzą, okradzioną ze wszystkich praw, w dalekich krajach i skrajnym ubóstwem rodziny spod Paryża? Mam na myśli pewną rodzinę, która w 1987 roku od czterech lat ukrywała się w piwnicy zburzonego domu w wysiedlonej wiosce, znajdującej się na ogrodzonym terenie lotniska Roissy we Francji. Nie mając oficjalnego miejsca zamieszkania, bez pracy, bez karty wyborczej, a także bez możliwości zapisania dzieci do szkoły, rodzina była dodatkowo ścigana za nielegalne zajmowanie opuszczonych ruin i lotnisko domagało się od niej



*Ojciec Józef Wrzesiński w Tajlandii, 1987.*

odszkodowania w wysokości dziesięciu tysięcy franków. Dziwna rzecz, rodzina ta mogła mieć akta w instancjach prawnych, chociaż nie istniała ani dla administracji szkolnej, ani dla administracji zajmującej się przydziałem mieszkań. Ponieważ gmina chciała się tej rodziny pozbyć jak najszybciej, odcięto im wodę na cmentarzu, gdzie ci ludzie się w nią zaopatrywali.

W istocie, im biedniejszy jest człowiek, tym niższa jest jego chata, tym bardziej nietrwały jego szalas, jego poddasze ciasne i wilgotne, jego rudera wałaca się, jego lepianka wciśnięta w najbardziej zarobaczony kąt najędźniejszej dzielnicy, jak najdalej od wody, choćby tylko stojącej i zanieczyszczonej; i tym bardziej trzeba się schylać, żeby wsunąć się do środka, jedni tłoczą się na drugich w zagęszczeniu, które niszczy powoli wszelką harmonię życia. Bowiernie niestabilność warunków mieszkaniowych stwarza zagrożenie dla wszelkich relacji, dla przyjaźni między sąsiadami, dla miłości małżeńskiej, miłości między rodzicami i dziećmi. Rodzą się nieład i przemoc. Tak więc, rodziny z powodu nędzy stają się stopniowo niepożądane, budzą odrazę i strach otoczenia. Są przepędzane, o ile same nie uciekną, i w rezultacie już nigdy nie przyzna im się zameldowania, choćby tylko prowizorycznego, na najkrótszy okres.

U kresu wędrowki ubogich, którzy stali się bezdomnymi, są już tylko tereny niezagospodarowane, zarośla, miejskie peryferie, tymczasowe nieużytki, gdzie każdego dnia może się pojawić buldożer. U kresu drogi jest już tylko bezprawne zajmowanie pustych mieszkań, „na dziko”, a dla dzieci – noc spędzona pod straganem na targowisku, u wejścia do kina, i dzień spędzony na szukaniu środków do przeżycia na ulicach, parkingach i plażach metropolii. Kres drogi, to przede wszystkim przejście od tożsamości, już i tak negatywnej, do rodzaju nietożsamości, nieistnienia administracyjnego, zniknięcie ze

wszystkich rejestrów, z wszelkich statystyk. Istoty ludzkie, całe rodziny, pojawiają się wówczas już tylko na kształt widm: widziano je, ale nikt już nie wie, gdzie, ani też ile ich jest. To już koniec wszelkiej nadziei na to, żeby jeszcze należeć do tych, którzy niegdyś ogłosili światu: „My, narody Narodów Zjednoczonych”, by należeć do tej wspólnoty międzynarodowej, która postawiła sobie za cel wcielanie w życie Praw Człowieka. To także koniec wszelkiej nadziei, by móc – o ile istnieje się jeszcze w oczach świata – zjednoczyć siły jednych i drugich do wspólnej walki o swoje prawa. Im bardziej ludzie są biedni, pozbawieni prawa do zamieszkiwania ziemi, tym bardziej potrzebują zjednoczenia wszystkich swych sił na całym świecie. I niestety, im mniej mają praw, tym mniej mają wolności i możliwości jednoczenia się, aby prowadzić jakąkolwiek wspólną walkę. Bowiem, nie mając poczucia tożsamości, są oni pozbawieni historii i usunięci z historii swego własnego narodu. Zabroniono im przynależeć do społeczeństwa, które w imię swojej historii, dawnej i obecnej, dążyłoby do realizacji wspólnej wizji przyszłości.

To są fakty, ale czyż nade wszystko nie wchodzi w rachubę cierpienie, które kryje się za tymi faktami? Stanowiąc porażkę całości Praw Człowieka, skrajne ubóstwo oznacza niemające usprawiedliwienia marnotrawstwo inteligencji, wynalazczości, nadziei i miłości. Jest to zaprzepaszczenie nieocenionego kapitału mężczyzn, kobiet i dzieci wyjętych spod prawa, spod administracji, ze wspólnoty i z demokracji. Przede wszystkim zaś, pod milczeniem naszych rejestrów i statystyk kryje się okaleczone dzieciństwo, młodzież wydana na pastwę rozpaczy, dorośli doprowadzeni do zwątpienia w swoją ludzką kondycję i w swoją ludzką godność.

Bo najubożsi mówią nam często: cierpieć głód, nie umieć czytać, czy też nie mieć pracy, nie jest największym nieszczęściem człowieka. Największym nieszczęściem jest wie-

Najubożsi odkrywają przed nami niepodzielność Praw Człowieka 81

dzieć, że jesteś uważany za zero, do tego stopnia, że nawet twoje cierpienia są ignorowane. Najgorszą rzeczą jest pogarda ze strony współobywateli. Bo właśnie ta pogarda stawia cię poza wszelkim prawem i sprawia, że świat ma za nic to, co przeżywasz. To ona staje na przeszkodzie, by uznać cię za godnego odpowiedzialności i zdolnego, by ją podjąć. Największe nieszczęście skrajnego ubóstwa, to czuć się przez całe życie jak człowiek skazany na śmierć.

## 2. Ludzie, którzy walczą o uznanie swojej godności

To, że skrajne ubóstwo upokarza ludzi, że niszczy ich osobowość, a ich egzystencję czyni nieustannym bólem, odkryliśmy ponownie w krajach bogatych. Jest prawdą, że Zachód, przez wiele dziesięcioleci, nie dopuszczał, wydawałoby się, do zaistnienia nędzy w obrębie swych granic. Najubożsi stali się mniejszością na pozór tak nieznaczną, że opinia wymazała ją w pewnym sensie z pamięci. Ale prawdą jest także, że w tym samym okresie naszej historii nie zabrakło mężczyzn i kobiet, którzy świadczyli o istnieniu Czwartego Świata, upchniętego na samym dole drabiny społecznej, nie zabrakło mężczyzn i kobiet, którzy sprzeciwili się zapomnieniu, i którzy, w poczuciu odpowiedzialności za swoją epokę, doprowadzili do podwójnego postępu. Zawdzięczamy im nową definicję skrajnego ubóstwa, w kontekście Praw Człowieka, i odtworzenie więzi społecznych z najuboższymi, co pozwala poznać zarówno ich cierpienia, jak i ich nadzieje.

Jest rzeczą pewną, że nasze kraje nie mogą już przypisywać sobie rzekomych zasług w dziedzinie realizacji niezbywalnych praw człowieka. Natomiast przyznając się do niepowodzeń, przyczyniły się one do znaczącego postępu w

zrozumieniu związku między niepodzielnością tych praw i zjawiskiem nędzy. Czy nie warto przypomnieć tu definicję, jaką przyjęła francuska Rada Ekonomiczno-Społeczna w swoim raporcie pt. „Skrajne ubóstwo i niestabilność ekonomiczna i społeczna” z 11 lutego 1987 roku? Według niej „Sytuacje skrajnego ubóstwa wynikają z szeregu niestabilności, które wpływają ujemnie na liczne dziedziny egzystencji, trwają uporczywie i niweczą szansę człowieka na to, by ponownie poczuł się odpowiedzialny i odzyskał dzięki samemu sobie swe prawa, w jak najbliższej przyszłości”.

Ta definicja była najważniejsza. Niewątpliwie mamy jeszcze sporą drogę do przebycia, zanim przeniknie ona do mentalności i decyzji polityków, ale czy nie jest już sama w sobie osiągnięciem?

A z drugiej strony, czy coraz liczniejsze więzi solidarności i partnerstwa z rodzinami, które nie liczyły się już w życiu narodu, nie są istotnym krokiem naprzód? Bez tych działań moglibyśmy jeszcze długo trwać w nieświadomości, tak cierpień, jakie powoduje brak wszelkich praw, jak i uporczywego sprzeciwu jednostek i rodzin wobec pozbawienia ich godnej tożsamości. Zmuszając tych ludzi, by dalej milczeli, nie zrozumielibyśmy, że ich egzystencja jest jednym wielkim krzykiem. Dzięki zadziergnięciu szczególnie bliskich więzi z nimi – nawet jeżeli ograniczają się one tymczasem do zwykłych obywateli i organizacji pozarządowych – wiemy obecnie, że zastosowanie Praw Człowieka w praktyce trzeba zacząć od najuboższych. A to dlatego, że właśnie oni, jako całkowicie wykpieni obywatele godni swobód i praw, mogą nas nauczyć najwięcej. Nadto pojmujemy teraz, że to oni właśnie są naszymi towarzyszami z wyboru, uprawnionymi partnerami w tej nowej walce. Dlatego, że jako pierwsi sprzeciwili się wykluczeniu i wiedzą, w jaki sposób można położyć mu kres.

W sytuacji, kiedy w naszych krajach, członkach Wspólnoty Europejskiej, są rodziny zubożałe do tego stopnia, że nie mają za co kupić obuwia dzieciom, czy nawet proszku do prania, żeby mieć czystą odzież, odruchy sprzeciwu nie rzucają nam się na ogół w oczy. Ileż to razy widziałem ludzi, którzy już nie mieli odwagi stawić się w państwowym urzędzie zatrudnienia, gdzie sam ich wygląd zewnętrzny dyskwalifikował ich jako poszukujących pracy! Widziałem, jak podejmowali się za marny grosz najgorszych prac na czarno (sprzątanie, wyładowywanie, odszczurzenie...) i po kryjomu płakali ze wstydu. Czy potrafimy docenić odwagę, jakiej trzeba, żeby poddać się kontrolom i nieustannemu wypytywaniu o wasze życie intymne i życie waszych bliskich, a to wszystko jest skutkiem uzależnienia od niektórych służb społecznych? Kto spośród najuboższych nie wyczuł, że mu się nie wierzy? Który mężczyzna w stanie skrajnego ubóstwa nie był posądzony o udawanie, która kobieta nie spotkała się z zarzutem, że zmyśla, kiedy podejmowali kroki administracyjne w celu uzyskania pomocy? Którzy rodzice nie byli podejrzewani o złą wolę, kiedy nie posyłali dzieci do szkoły? I to w sytuacji, kiedy nie mieli im co dać na pierwsze śniadanie, tak, żeby dzieci miały siłę dojść pieszo do szkoły oddalonej o cztery kilometry od ich nędznego osiedla, do którego nie przyjeżdża szkolny autobus. Które z dzieci Czwartego Świata nie było posądzone o kłamstwo, kiedy mówiło nauczycielowi, że nie mogło przyjść na lekcje, ponieważ ich mama była chora i musieli się zająć młodszym rodzeństwem? Które z dzieci nie umierało ze wstydu, kiedy nauczycielka z własnej inicjatywy, na oczach ich kolegów, przebierała je w czystą odzież?

A jednak, prędzej czy później, dzieci wracają do szkoły, mężczyźni – do poniżającej pracy, kobiety – do biura pomocy społecznej lub do parafialnego komitetu wzajemnej pomocy.

A przecież, nawet jeśli niektórym nerwy nie wytrzymują, nawet jeśli niektórzy, w stanie skrajnego wyczerpania, posuwają się do przemocy lub piją, w żadnym innym środowisku nie zetknąłem się z równie przemożnym pragnieniem działania, skazanym na tyle niepowodzeń, bo ci ludzie nie wiedzą, jak się do tego zabrać, wreszcie – z tyłoma wysiłkami, żeby mimo wszystko nigdy nie poddać się na dobre przygnębieniu. Czyż, przeciwnie, ta nędzna egzystencja, pozabawiona wszelkich zewnętrznych znamion godności, te puste ręce, ta niemożność podtrzymania choćby w najmniejszym stopniu życia rodzinnego i wspólnotowego, nie powinny były zepchnąć rodzin Czwartego Świata na dno rozpaczy i nienawiści? Czy, do tego stopnia upokorzone, nie powinny były pozostać w stanie kompletnego upadku? A jednak w ich nędznych blokach, na ulicach, w osiedlach proletariatu najniższej kategorii, każdego dnia widzimy osoby, które się podnoszą, rodziny, które wracają do życia, rodziców, którzy stawiają czoło przeciwnościom. „To dla naszych dzieci”, mówią rzadkim, pełnym podziwu świadkom. „Jesteśmy przecież istotami ludzkimi”, dorzucają ciszej niektórym spośród nich.

Czy inaczej wygląda sytuacja najuboższych w krajach rozwijających się? Czegóż to nie słyszeliśmy na temat bezwolnych narodów, które z racji niechętnych zmianom wzorów kulturowych, w jakich tkwią, same nie wiedzą, co leży w ich interesie? Byliśmy zbyt wiele razy świadkami postaw zgoła przeciwnych, by sądzić, że ktokolwiek z ludzi może upodobać sobie skrajne ubóstwo. Widzieliśmy, to prawda, jak rodziny, a nawet całe wioski, trwały uporczywie przy tradycyjnej uprawie roli, która wyczerpywała ich ciała, a nie była zdolna ich wyżywić. Ale ludzie ci zachowywali się w ten sposób bynajmniej nie dlatego, że wzbranieli się przed jakąkolwiek zmianą, ale dlatego, że nikt nie mógł im zagwarantować, iż ta zmiana nie zepchnie ich na samo dno nędzy.



*Ojciec Józef Wrzeński z francuskim ministrem budownictwa,  
w mieszkaniu rodziny emigrantów, Paryż 1984.*

Widzieliśmy, jak w slumsach na południe od Sahary matki wypełniają o świcie papką usta swych noworodków, żeby mogły przetrwać dzień, a same idą boso kilometrami, żeby znaleźć jakąś pracę w mieście. Te matki uparczywie odmawiają oddania swojego dziecka do sierocińca, bo wiedzą, że ich dziecko stamtąd już nigdy do nich nie wróci.

„Ubodzy – tłumaczyła mi pewna matka – muszą pracować nie mając zawodu, nie mając niczego, i żyją dla niczego, ot żeby nie umrzeć. A przeżyć naprawdę życie, to nie to. Bo życie, to jest coś innego”... Więc co to jest życie, według niej? „Życie, to nie musieć nigdy zebrać, to być szanowanym, witany z poważaniem. Kiedy moja pracodawczyni mnie łży, nie odzywam się, myślę sobie tylko, że ręka, która daje, jest zawsze wyżej niż ręka, która przyjmuje. Milczę z myślą o moich dzieciach. Ale moja pracodawczyni nie jest Bogiem. A Bóg wie, kim jestem”.

Według oświadczenia międzynarodowego sympozjum

„Rodzina, skrajne ubóstwo i rozwój”, zorganizowanego przez UNESCO w czerwcu 1987 r., najubożsi żyją na całym świecie wyłącznie dzięki własnym wysiłkom i pomocy współobywateli i lokalnych małych organizacji pozarządowych, które opowiadają się po ich stronie. W ten sposób właśnie ów protest przeciw nędzy, może nieporadny, nieskuteczny, bez mocy sprawczej, ale niezachwiany, został skierowany do wielkich instancji międzyrządowych. Równocześnie uznano za niezbędne poszanowanie całokształtu Praw Człowieka, ponieważ ich współzależność w życiu najuboższych jest dzisiaj w świecie oczywista. Istotnie, analfabeta, człowiek chronicznie bezrobotny, rodziny całkowicie zależne od zapomóg publicznych, są w krajach przemysłowych politycznymi niewolnikami, nawet jeżeli teoretycznie przyznaje im się wolność polityczną. Podobnie wolność sumienia, wolność słowa, wolność zrzeszania się, pozostają martwą literą dla rodzin żyjących w jakimś słabo rozwiniętym kraju, wegetujących między życiem a śmiercią, trawionych gorączką, wynędzniałych, które mogą włożyć cokolwiek do ust zaledwie raz na dwa, trzy dni.

Egzystencja najuboższych na wszystkich kontynentach świadczy niezbicie, że przyznanie wolności obywatelskich i praw politycznych, bez stworzenia konkretnych możliwości korzystania z nich, może być czymś gorszym niż ich odmowa. Bowiem oznacza to, że wydziedziczeni będą dodatkowo pogrążeni w swoim wykluczeniu, upokorzeni zarzutami, że nie postępują jak wolni obywatele, chociaż mają na to przyzwolenie. Oznacza to wydanie ich na łaskę i niełaskę i arbitralny osąd tych, którzy mają odpowiednie środki, by używać swej wolności. Dalej, oznacza bycie postawionym wobec odgórnej decyzji o przyznaniu minimum socjalnego, byle jakiego zajęcia, byle jakiego mieszkania, gdy nie ma się na tyle mocnej pozycji, by wyrazić swoją opinię, wybrać, pertra-

ktować, odmówić. Oznacza po raz kolejny bycie skazanym na obywatelstwo niższej kategorii. Czyż w pewnej stolicy, w Europie zachodniej, nie wyznaczono zrujnowanych dzielnic na miejsca zamieszkania wszystkim rodzinom bez pracy i środków materialnych, lub otrzymującym minimum socjalne od państwa? Czy w innym wielkim mieście rodziny bezdomne nie są rozłączane z urzędu, lub zmuszane przenosić się do mieszkań w budynkach pozbawionych porządných instalacji sanitarnych i niezdatnych do jakiegokolwiek życia rodzinnego? Co znaczy w tej sytuacji dla ludzi żyjących w skrajnym ubóstwie, tak na północnej, jak i na południowej półkuli, konstytucyjna wolność wyboru miejsca zamieszkania i swoboda poruszania się?

Sądząc według tego, co ci ludzie sami nam przekazują, za fragmentarycznie przyznane im prawa najubożsi płacą dodatkowym upokorzeniem, zależnością i pogardliwymi osądami. „Czy nie mogli utrzymać w dobrym stanie studni i traktorów, które im dostarczyliśmy?”, mówi się, zapominając, że w regionie dotkniętym głodem należało zainwestować inne poważne środki, a ludności trzeba było dać czas na przemyślenie i wolny wybór, żeby przyswoiła sobie nowy sposób uprawy roli. Podobnie ma się rzecz ze stwierdzeniem: „Ci ludzie nie mają najmniejszego zmysłu politycznego”, pod adresem mieszkańców nędznych dzielnic europejskich miast, którzy nie udają się do urn. To opinia, przed którą ci ludzie nie mogą się bronić. W ich dzielnicach szkoły są źle wyposażone, klasy przeciążone. Wielu dorosłych nie jest w stanie czytać programów politycznych, a zresztą, czy ktoś ich pyta o zdanie, kiedy opracowuje się te programy?

Wydaje się – jeżeli chodzi o najbiedniejszych – że jedynie walka o poszanowanie całokształtu praw może im zapewnić ludzką godność. Otóż właśnie, czy w skutek skierowania całego wysiłku na wcielanie w życie takiej czy innej kategorii

praw, nie zapomnieliśmy, co jest racją bytu i celem wszystkich praw, a mianowicie – niezbywalna godność każdej istoty ludzkiej? Gdyby nie to zapomnienie, co mielibyśmy na usprawiedliwienie dla naszych społeczeństw, które przyznają teraz, że niezależnie od niestabilności życia i ubóstwa, niektórzy spośród ich członków są wydani na łup destrukcyjnej nędzy, a nie zmobilizowano wszystkich sił, aby tę nędzę wyeliminować?

### 3. Koncepcja człowieka jako źródła odpowiedzialności i praw

Ujęcie problemu skrajnego ubóstwa w formie pytania skierowanego do obrońców Praw Człowieka, było, jak powiedzieliśmy, czymś nowatorskim. I naturalnie zaskoczyło to opinię publiczną w krajach zachodniej demokracji. Doświadczenie francuskiej Rady Ekonomiczno-Społecznej pozwoliło nam lepiej zrozumieć to zagadnienie. Zgodnie ze swoim mandatem, Rada postanowiła przeanalizować rzeczywistość ekonomiczną i społeczną coraz bardziej nękającą nasz kraj i przedstawić rządowi swoje zdanie na ten temat. Jej analiza zmierzała konsekwentnie do postawienia pytania, jak wygląda wprowadzanie w życie niezbywalnych praw, zagwarantowanych przez Konstytucję. Istnienie skrajnego ubóstwa stawia bowiem pod znakiem zapytania funkcjonowanie, a nawet autentyczność naszej demokracji. W rezultacie Rada Ekonomiczno-Społeczna zaproponowała, by podjąć tę kwestię w pogłębiony sposób i zwiększyć gwarancje w tej dziedzinie. Dzisiaj widzimy, do jakiego stopnia ta propozycja podważa pewne utrwalone do tej pory sposoby pojmowania i obrony Praw Człowieka .

Niewątpliwie, tak we Francji, jak i w całej Wspólnocie Euro-



*W Burkina Faso, 1986.*

pejskiej, mieliśmy powody do pewnej satysfakcji z owoców Powszechnej Deklaracji z 1948 roku. Zwłaszcza gdy chodzi o dziedzinę wolności i praw politycznych, uważaliśmy, że mamy w swoim dorobku bezsporne osiągnięcia. Tymczasem z dołu naszych demokratycznych społeczeństw zaczęły do nas nagle docierać pytania: „Komu przysługuje przyznanie tych swobód? Dlaczego nie wszystkim? Jak wyjaśnić sytuację najuboższych, którzy znajdują się poza wszelkimi prawami? A skoro oni nadal są wykluczeni, to czy naprawdę zrobiliśmy decydujący krok od społeczeństwa przywilejów do społeczeństwa Praw Człowieka? W istocie Rada Ekonomiczno-Społeczna potwierdziła w niezaprzeczalny sposób, że ubodzy wciąż istnieją między nami. A także wykazała, że nasi najbardziej wydziedziczeni współobywatele – przez sam fakt egzystencji, na jaką ich skazaliśmy – świadczą o wszystkich wypaczeniach, jakich dopuściliśmy się wobec własnych przekonań, ideałów i zobowiązań.

Ta kłopotliwa konstatacja nasuwała kolejne pytania: „Czy

słusznie ustanowiliśmy pewną hierarchię wśród praw, uznanych wszak w całości za niezbywalne? Czy słuszne było wyróżnienie swobód obywatelskich i praw politycznych jako nadrzędnych, w pewnym sensie szlachetniejszych niż pozostałe? Czyż swobody obywatelskie i prawa polityczne nie są łatwiejsze do ustanowienia niż prawa ekonomiczne, społeczne i kulturalne, wystarczy bowiem nieingerencja Państwa, by każdy obywatel mógł z nich korzystać? Czyż z całą rozważą nie ratyfikowaliśmy w pewnym sensie owego podziału wewnątrz całokształtu praw, które na walnym Zgromadzeniu ONZ nasze rządy ogłosiły jako „niepodzielne i współzależne”?

Stawiając te pytania, zbijające z tropu wielu najbardziej szczerych działaczy, nie mogliśmy się spodziewać natychmiastowych zmian. Jakże wpłynąć na bieg historii, skoro kraje uczestniczące w obradach Komisji do Praw Człowieka ONZ starły się w kwestii przyznania pierwszeństwa – bądź prawom obywatelskim i politycznym, za czym opowiadali się jedni, bądź prawom ekonomicznym, społecznym i kulturalnym, za czym opowiadali się drudzy? Na płaszczyźnie politycznej, tak na szczeblu międzynarodowym, jak i w ramach naszych instancji narodowych i europejskich, osiągnięcie jednomyślnej zgody na podjęcie poważnej refleksji wokół problemu „skrajne ubóstwo i niepodzielność Praw Człowieka” jest bardzo trudne. Wielkie zgromadzenie obrońców Praw Człowieka, które miało miejsce 17 października 1987 r. na placu Wolności i Praw Człowieka w Paryżu, ogłosiło publicznie, z udziałem prawie stu tysięcy mężczyzn i kobiet, ubogich i zamożnych, przybyłych ze wszystkich stron świata, że nędza jest pogwałceniem Praw Człowieka. Blisko pięćdziesiąt różnego rodzaju organizacji pozarządowych zgromadziło się tego dnia wokół przedstawicieli najuboższych. Dla tych ostatnich 17 października stanowi od tej pory datę, która uka-

zuje w prawdziwym świetle ich cierpienie, a także ich walkę. To był z pewnością duży krok naprzód, być może początek nowej drogi, ale po tym wydarzeniu wszystko pozostaje jeszcze do zrobienia. Trzeba teraz utrwalić nową świadomość i konkretnymi gestami umocnić pakt przymierza z bezrobotnymi, niepiśmiennymi, potrzebującymi i bezdomnymi.

Czy ta nasza opieszałość w kroczeniu do przodu, aczkolwiek wydaje się ono nieuchronne, nie wynika przede wszystkim stąd, że nie doświadczyliśmy losu, jaki jest udziałem tych społeczności, które nędza sprowadza do bezwzględnej zależności od cudzej dobrej woli? Ponieważ ogół naszego społeczeństwa stracił kontakt z tymi ludźmi, być może nie zdajemy sobie sprawy, co znaczy być pozbawionym jakiegokolwiek możliwości zabrania głosu, opowiedzenia o swojej egzystencji, wyrażenia swej ludzkiej godności i bronięcia swej sprawy?

Skoro byliśmy w stanie tak długo ignorować przeżycia i odczucia tej całkowicie wydziedziczonej części ludzkości, a nawet naszych własnych współobywateli, to czy potrafimy jeszcze poważnie stawiać sobie pytanie o słuszność Praw Człowieka? Według jakiej koncepcji człowieka, posiada on niezbywalne prawa? W imię czego owe prawa mogą mu być odebrane? Czy ci, którzy nie mogą powołać się na żadne prawo nabyte, a jedynie na swoje człowieczeństwo, są bowiem pozbawieni jakiegokolwiek możliwości skorzystania z praw przyznanych, nie domagają się przede wszystkim tego pytania – preambuły do naszych deklaracji i paktów? Dlaczego głosi się, że ludzie rodzą się równi i wolni? Skoro praw uznanych z tego tytułu systematycznie odmawia się niektórym, to czy nie znaczy to, że istnieje kategoria podludzi, istot ludzkich urodzonych w takim stanie, lub stopniowo doprowadzonych do takiego stanu – mniejszej równości, mniejszej wolności, mniejszego człowieczeństwa niż inni? Może

zatem ludzkość produkuje wyrzutki, jak to słyszeliśmy w wielu krajach?

Podczas międzynarodowego Roku Dziecka postawiliśmy analogiczne pytanie odnośnie do praw dziecka. Uroczyste potwierdzenie niezbywalnych praw w odniesieniu do dzieci okazało się rzeczą konieczną. Ale czyż nie okazało się rzeczą jeszcze bardziej konieczną, uświadomić sobie na nowo, jakie jest źródło tych praw? Czy pogląd na dziecko, którego chcemy bronić, jest jednoznaczny i dobrze ugruntowany? Czy znamy to dziecko, czy szanujemy je dla niego samego i ze względu na



*Ojciec Józef Wrzesiński staje w obronie rodzin eksmitowanych ze slumsów pod Paryżem.*

to, co oznacza ono dla ludzkości, dziś i jutro? Czy przeżycia dzieci najuboższych nie zmuszają nas do tego rodzaju refleksji, zważywszy, że z naszej postawy, z naszego sposobu bycia, można by czasem wyciągnąć wniosek, że te dzieci, według nas, na dobrą sprawę nie powinny były przyjść na świat?

„Widząc, jak traktuje się nasze dzieci, zapytujemy, czy wy liczycie się z nimi, i czy liczycie się z nami, jako rodzicami i pełnoprawnymi obywatelami?” Takie pytanie postawiły rodziny z Czwartego Świata na sympozjum „Prawo rodzin do życia w godności”, które zostało zorganizowane przez Radę Europy w 1984 r. Jaka ostatecznie jest nasza koncepcja istoty ludzkiej? To jest podstawowe pytanie, jakie stawiają nam społeczności pogrążone w nędzy. A następnie, wychodząc od swoich życiowych doświadczeń, pytają, jaka jest nasza koncepcja człowieka, skoro pozwala nam ignorować niepodzielność podstawowych ludzkich praw. Jak widzieliśmy, wykazują nam współzależność tych praw. Ale głównym powodem ich rozpaczy nie jest mechanizm owej współzależności, skazujący ich na egzystencję utkaną w całości z okrutnych wyrzeczeń. Źródłem ich cierpienia jest przede wszystkim obojętność otaczającego ich świata, który nie zadaje sobie trudu, żeby dowiedzieć się prawdy o ich losie i zrozumieć ich, gdy tymczasem chodzi o los istot ludzkich z krwi i kości. „Czy my nie jesteśmy także ludźmi?” – pytają.

Pytanie wstrząsające dla każdego, kto chce je naprawdę usłyszeć, dyktuje je bowiem koncepcja człowieka, przy której najubożsi trwają niezłomnie. Przy odrobinie dobrej woli z naszej strony, gdybyśmy chcieli ich wysłuchać, najubożsi przypomnieliby nam to, o czym – jak się wydaje – zapomnieliśmy. A mianowicie, że „każdy człowiek, to człowiek” – *Zo kwe zo*, jak mówią nasi przyjaciele z Afryki, i że – w konsekwencji – Praw Człowieka należy bronić nie w imię jakiejś idei prawa, ale w imię człowieka.

Widzieliśmy, jak – wbrew wszelkiej oczywistości – ludność ze stref wielkiego ubóstwa podnosi nieustannie sprzeciw wobec traktowania jej jako podludzi. „To nie jest normalne” – ileż razy słyszeliśmy te słowa, powracające jak niekończąca się skarga. „Ojcze, czy to normalne, że odmawia mi się mieszkania?”... „Ojcze, to prawda, że nie umiem czytać, ale czy to normalne, że w szkole nie chcą wysłuchać mojego zdania na temat moich dzieci?”... „Ojcze, czy to normalne, że wsadzono mnie do sierocińca, bo nasza buda się spaliła i mama znalazła się na ulicy?”... I potem aż nazbyt często ów przerażający komentarz: „Przecież my nie jesteśmy psami”.

Czy to nie dlatego właśnie, że zapomnieliśmy o prawdzie, iż każdy człowiek jest człowiekiem, doszliśmy do tego stanu, że część ludzkości pozostaje bez środków do wykazania swej godności, zdolności myślenia, użyteczności? W każdym razie – jako kapłan mojego Kościoła – jestem zobowiązany sformułować to pytanie w tych właśnie słowach, i stawiam je samemu sobie, a także Kościołowi. Dla mnie nie jest najważniejsze, czy świat pozostaje wierny swoim własnym deklaracjom Praw Człowieka. Ja mam wnieść przede wszystkim swój własny wkład w to, żeby te deklaracje i użytek, jaki z nich robimy, odpowiadały spojrzeniu Boga na ludzi. Moją powinnością jest więc zapytać samego siebie, czy – według mnie – człowiek zmieniony nie do poznania przez nędzę jest jeszcze w pełni człowiekiem, nienaruszonym człowiekiem, dzieckiem Bożym z urodzenia? Moją powinnością jest wiedzieć, czy sposób, w jaki dopominam się o uznanie praw najuboższych w moim życiu, w moim kapłaństwie, w moim Kościele i wśród ludzi, zwiększa ich wolność. Wolność myślenia, wolność wyznania, wolność działania na rzecz samych siebie, ale także dla dobra ogółu. Czy moje życie, moja działalność, moje słowo uświadamiają najuboższym, że są

wolni i że dokonując świadomie wyboru, jakiego dokonują, stają się uprzywilejowanymi emisariuszami sprawiedliwości Boga, jak i sprawiedliwości ludzi?

Chrześcijanin może pojmować człowieka jedynie jako wolnego, a każdą istotę ludzką – jako jedyną i niezbędną dla wspólnego planu. Dla chrześcijanina człowiek bez praw – a więc bez środków, by wykazać swoją równość z innymi – nie istnieje. Nie do chrześcijan głównie – ani nie do Kościoła – należy obrona Praw Człowieka, ani tym bardziej ich obrona w imię prawa. My mamy bronić człowieka, przywracając ludzkie prawa właśnie tym, których ludzka godność została spostponowana.

Ewangelia mówi nam, że Bóg pragnie, aby jego dzieci były miłowane przez swoich braci. I tu stajemy wobec istotnego pytania: kogo winienem kochać przede wszystkim? Komu najpierw mam ofiarować miłość, której mi zbywa, a która temu człowiekowi może przywrócić jego równość jako dziecka Bożego? Według Ewangelii – nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości – winniśmy okazać miłość temu mężczyźnie, tej kobiecie, temu dziecku, tej rodzinie w skrajnej nędzy, którzy nie mają podobnego jak my wykształcenia, ani podobnej kultury, ani nie okazują czci Bogu w podobny co my sposób. To z nich winniśmy uczynić drugich nas. Bowiem to w nich prawa Boże są pogwałcone, gdy nie uznajemy ich już za naszych braci. Niech mi będzie wolno dodać, że wszystkie deklaracje na temat Praw Człowieka ze współczesnej historii wydają mi się interpretacją, odbiciem tego, co Jezus Chrystus przeżył i w pełni przeżywa nadal. Ewangelia poucza nas, być może lepiej niż wiele naszych traktatów i deklaracji, o niepodzielności praw człowieka, w imię niepodzielności samej ludzkości, którą w niektórych epokach nazywaliśmy braterstwem.

Czy więc uznanie w każdym człowieku brata, obrona czło-

wieka dla człowieka, przywrócenie Praw Człowieka najuboższemu, z tej jedynej racji, że są ludźmi – czy tak pojmowana misja nie mogłaby być ogniwem łączącym wszystkie Kościoły, wszystkie religie, wszystkich ludzi dobrej woli? Czyż tego rodzaju odpowiedzialność nie jest należna każdemu człowiekowi przez sam fakt, że jest człowiekiem, podobnie jak – z tego samego tytułu – przynależne mu są prawa? Kto nie zgodzi się z dewizą: „Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie”? Czy braterstwo nie jest tym, czego wszyscy ludzie poszukują, i czego wszyscy w tej samej mierze potrzebują?

Wszyscy ludzie dobrej woli – ilekroć stykają się z nędzą – konfrontują się z przykazaniem danym od Boga, ze swoimi przekonaniem i swoją wiarą. Któż bowiem może zaakceptować fakt, że oto ojciec rodziny nie potrafi czytać ani pisać? Że biedak, zwłaszcza młody, skazany jest na bezrobocie z powodu braku wykształcenia? Któż może przyjąć za coś normalnego, że matka licznej rodziny nie ma środków, aby się leczyć? Że nie ma pieniędzy, by mogła sama wyżywić swoje dzieci? Żaden człowiek wrażliwy nie może zgodzić się na to, by dzieci były upokarzane w szkole z powodu nędzy swoich rodzin. Żeby całe rodziny były zmuszone żyć tak, jak gdyby szczęście było im raz na zawsze wzbronione.

Tutaj dotykamy zresztą innego aspektu naszej koncepcji człowieka, pojmowanego jako ten, kto ponosi odpowiedzialność, do której aspiruje i która przynosi zaszczyt jego ludzkiej kondycji. Czy człowiek ubogi nie domaga się praw właśnie po to, by móc podjąć swoją odpowiedzialność z całą godnością? O tej niepodzielności praw i odpowiedzialności najubożsi na całym świecie przypominają nam w sposób konkretny i niezbity. Czy nie z nimi właśnie, pod warunkiem, że ich potraktujemy jako naszych partnerów, najprędzej osiągniemy postęp w zrozumieniu niepodzielności

praw i odpowiedzialności, nie tylko w odniesieniu do każdego człowieka, ale do całej ludzkości? Bowiem to oni właśnie wykazują nam niezłomie, że nie tylko poszczególny człowiek, ale także ludzkość jako taka jest niepodzielną całością, zespoloną w jednym i tym samym przeznaczeniu.

Potraktowanie najuboższych jako partnerów samo w sobie jest już oryginalnym, nowatorskim zastosowaniem Praw Człowieka. A – idąc dalej – czy nie oznacza to powrotu do najgłębszego źródła wszystkich naszych deklaracji, które przecież zawsze są tylko doraźnym wyrazem idei, postępującej naprzód. Żaden naród – niezależnie od tego, jaką ma kulturę i historię – nie może być wykluczony z marszu tak wytyczoną drogą.

#### 4. Przywrócić Prawa Człowieka najuboższymi – misją każdego z nas

Zetknięcie się z doświadczeniem życiowym ludzi na wszystkich kontynentach uczy nas, że to odwołanie się do źródła godności człowieka jest naturalnym podejściem mężczyzn i kobiet wszystkich kultur i wier. Tam, gdzie istnieją ludzie pogrążeni w trwodze i cierpieniu z powodu nędzy, uwięzieni w rozpacz i zmuszeni do milczenia, zawsze znajdują się inni – mężczyźni i kobiety – którzy deklarują dobrowolnie swoją gotowość do działania i dyspozycyjność, gotowi usłyszeć krzyk potrzebujących, gotowi nań odpowiedzieć i wywołać dalsze reperkusje. Tam, gdzie całe narody znoszą tortury głodu, gdzie ludzie wstydzą się swej ignorancji, upokorzeni z powodu bezrobocia, trawieni chorobami, wyniszczeni na ciele i duszy przez nędzę, zawsze spotykałem mężczyzn i kobiety, którzy przyłączali się do nich, by wraz z nimi walczyć o zadośćuczynienie ich potrzebom.

Nie mówię tu o zorganizowanych akcjach społecznych. To właśnie tam, gdzie ich brak, gdzie wszystkie oficjalne więzi społeczne są już zerwane, gdzie miejscowa ludność nie liczy się wcale dla społeczności krajowej bądź międzynarodowej, widzimy reagujących współobywateli i tworzącą się lokalną solidarność. Zdarza się, że jakaś ludność nie jest już w ogóle brana pod uwagę w naszych projektach politycznych i budżetach, i może liczyć tylko na samą siebie, i właśnie wówczas dostrzegamy pojawianie się takich oznak solidarności. Wykluczenie istot ludzkich, rodzin, całej dzielnicy czy wioski, jest dla innych czymś nie do przyjęcia, i kiedy urzędnicy opuszczają ręce, prości obywatele podejmują działanie. To jest rzeczywistość, pojawiająca się stale w historii, której świadkiem jestem od dzieciństwa, i którą obserwuję we wszystkich odwiedzanych krajach, bogatych i biednych, o różnych kulturach.

Kiedy pytam tych ludzi – muzułmanów, chrześcijan, Żydów, animistów, hinduistów, buddystów – co skłania ich do sprzeciwienia się nędzy, odpowiedź, jakiej mi udzielają, nie jest bynajmniej podyktowana ich religią, ani nawet zasadami wpojonymi przez tradycję. Tradycję, która na całym świecie nakazuje przecież udzielać jałmużny i wsparcia tym, których dotknęła boleśnie nędza.

Odpowiedź, jaką słyszę w różnych częściach świata, jest innej natury. „Ludzie nie są stworzeni, by żyć w takim poniżeniu”... „Bóg tego nie chce”... „Nie mogę się z tym pogodzić, że oni są narażeni na taki wstyd”... „Jestem kobietą, nie mogę zostawić innych kobiet w takiej nędzy”. Pewna matka rodziny, gdzieś w Afryce, powiedziała mi: „Niech ojciec będzie spokojny, wszędzie tam, gdzie ludzie są na pozór całkowicie opuszczeni, znajdzie ojciec kogoś, kto do nich pójdzie”. I dorzuciła: „A kiedy nie ma już nikogo innego, znajdzie ojciec jeszcze jakąś zakonnice”.



*Ojciec Józef Wrzesiński z Janem Pawłem II i kardynałem Rogerem Etchegaray, Rzym 1982.*

W imię czego jednostki przejawiają tę determinację, kiedy wspólnota pozostawia samej sobie ludność, która już nie ma, zdawałoby się, ludzkiej twarzy? „Bo to są ludzie”... Taką odpowiedź usłyszałem w wydziałach socjalnych państwowych urzędów w Polsce: „Nie pracują, wychowują źle swoje dzieci, wpadają w pijaństwo. Ale każdy człowiek może być zresocjalizowany”. Można się niewątpliwie zastanawiać nad surowością środków, podejmowanych przez owe instancje społeczne, starające się „odzyskać dla społeczeństwa” rodziny zamieszkujące zniszczoną dzielnicę Warszawy po drugiej stronie rzeki. W każdym razie nie usłyszeliśmy nigdy werdyktu: „nie nadaje się do resocjalizacji”, tak często używanego gdzie indziej. Z poglądem, że ludzie mogą być „nie do resocjalizacji”, spotykamy się na przykład w krajach bogatych. Może trzeba to traktować jako wyraz bezsilności, bo czyż

nie próbowano tam okazywać pomocy wszelkimi środkami państwowymi i prywatnymi najbardziej konstruktywnymi, które wszelako nie doprowadziły do zlikwidowania skrajnego ubóstwa. Ale i w tym wypadku, kiedy wszystkie mosty zostały zerwane, spotykaliśmy współobywateli – czasem nawet rodziny niewiele mniej ubogie – którzy nie godzili się z faktem, że ogniska domowe mogą być skazane na wegetację niegodną człowieka.

Z naszego doświadczenia wynika bowiem, że to przede wszystkim najbiedniejsi tworzą – jedni dla drugich – ostatni wał obronny, nie pozwalając, by ich współbrat poddał się rozpacz. Zawsze znajdzie się jakaś osoba z sąsiedztwa, która włączy się do akcji. Bezskutecznej – w przeważającej mierze – bo czyż skrajne ubóstwo może być pokonane tylko przez osobistą dobrą wolę? Niemniej to, co się liczy, to przeświadczenie, że „to nie jest normalne”, że człowiek nie jest stworzony do tak nieludzkiego losu. To, co wszędzie jest charakterystyczne dla nędzy, to że człowiek jest pozbawiony swoich istotnych praw i swojej odpowiedzialności – niezależnie od ich form w różnych kulturach. I zarazem we wszystkich kulturach, we wszystkich stronach świata, znajdujemy mężczyzn i kobiety, którzy uznają za nienormalny, bo nieludzki, fakt że ludzie są bezbronni wobec tak wielkiego ubóstwa, a co gorsze – że w stanie skrajnej nędzy zostają wykluczeni ze społeczeństwa. Wszędzie znajdują się współobywatele, w których znajduje oddźwięk owo najgłębsze odczucie najuboższych: „To nie jest normalne, przecież ja też jestem człowiekiem”.

To wszystko pozwala zrozumieć, dlaczego mógł się narodzić, w początkach lat sześćdziesiątych, ruch, który doprowadził do utworzenia przy ATD Czwarty Świat „Stałego Forum w kwestii skrajnego ubóstwa”. Gromadząc sprzymierzeńców ze wszystkich stron świata, Forum daje każdemu

możliwość wymiany doświadczeń z innymi. Nikt nikomu nie udziela tu lekcji, ani nikt nie proponuje, by wszyscy uznali jakąś jedną teorię. Każdy próbuje – w oparciu o swoją kulturę, swoją osobistą sytuację, swoje przekonania – wspomagać dzieci, młodych i rodziny żyjące w jego kraju w skrajnym ubóstwie. W wielu wypadkach zresztą nie są to już osoby działające w odosobnieniu. Dzięki Forum odkrywają możliwość tworzenia małych organizacji pozarządowych wraz z tymi, którym starają się służyć. To także ważny znak. Nie mamy tu do czynienia z wybitnymi osobistościami, ale ze zwykłymi obywatelami, którzy potrafią jednak pociągnąć za sobą innych, dzieląc tę samą koncepcję człowieka.

Można by zapewne postawić sobie pytanie, jaki związek ma ta historia z duchem Praw Człowieka, tak jak je pojmujemy w naszych zachodnich demokracjach. Bo chodzi tu rzeczywiście o historię, która kroczy własną drogą, dyskretnie, nie wywołując jeszcze spektakularnych zmian we wspólnotach narodowych i międzynarodowych. Jednakże UNESCO, UNICEF, Bank Światowy, Komisja Wspólnoty Europejskiej uczestniczą we wszystkich tych spotkaniach, na których zabierają głos obrońcy człowieka, żyjący w konkretnych sytuacjach. Co nie znaczy, że te wielkie instancje mogą natychmiast zdobyć środki, pozwalające dotrzeć do najuboższych i oddać im sprawiedliwość. A jednak uczestniczą w tych spotkaniach, które wydają mi się czymś znamionym, świadczą bowiem o sięganiu do źródła wszelkich praw. A tym źródłem jest człowiek, zwłaszcza człowiek pozbawiony wszelkich środków, które pozwalałyby mu dowieść, że jest takim samym człowiekiem jak inni; a jednocześnie, człowiekiem zdolnym wziąć na siebie odpowiedzialność za swoją kulturę, za swoją epokę.

To prawda, w krajach zachodnich ubolewamy nad faktem, że w innych częściach świata ogranicza się znaczenie dekla-

racji i paktów. Czy aby jednak nie przeskakujemy jakiegoś etapu, chcąc, żeby nasze deklaracje zostały od razu przyjęte przez wszystkie narody świata, bez względu na ich historię i kulturę? Czy aby nie zapominamy, ile my sami potrzebowaliśmy czasu i trudu, w naszych krajach, żeby ukształtować społeczeństwa wystarczająco dojrzałe do zbudowania demokracji i wkroczenia na drogę ku równości i wolności wszystkich ludzi? Czy aby idziemy za głosem rozsądku, sądząc, że jedynie warunki ekonomiczne mogą gdzie indziej usprawiedliwiać pewne uchybienia wobec praw obywatelskich, podobnie jak sądymy, że przyczyny ekonomiczne mogą usprawiedliwić oczywistą regresję w stosowaniu tych praw u nas? Czy uznanie, że skrajne ubóstwo zaprzecza wszelkim prawom, bo zaprzecza samemu człowiekowi, nie jest jedyną szansą na to, byśmy powrócili wszyscy razem – narody bogate i narody biedne, w całej różnorodności swych kultur – do samego źródła idei praw niezbywalnych?

Czyż nie na tym właśnie polega szansa, jaką oferują nam najubożsi, którzy pomagają nam we właściwy sposób ukierunkować nasze wysiłki i postawić sobie ponownie właściwe pytania? Przekonują nas, że nie o to im chodzi, by wiedzieć, jakimi zasobami ekonomicznymi dysponujemy dla wprowadzenia w życie naszych deklaracji. Oni chcą wiedzieć, czy my zgadzamy się, że każdy człowiek jest godny ponosić odpowiedzialność za los innych. A doświadczenie pokazuje, że tylko na tej podstawie można walczyć o prawo człowieka do uczestnictwa w odpowiedzialności i prawach, jakie nasza kultura przyznaje większości. Wyłania się wówczas w nieunikniony sposób kwestia niezbywalnych praw wszystkich ludzi. Dopiero jednak wtedy, gdy doprowadzimy do końca naszą refleksję na temat życia najuboższych, Prawa Człowieka mogą być uznane bez żadnych zastrzeżeń. Czy nie należy więc uwzględnić tego doświadczenia najuboższych,

Najubożsi odkrywają przed nami niepodzielność Praw Człowieka 103

skoro historia mówi nam, że narzucanie tych Praw jako warunku wstępnego pomocy ekonomicznej stanowi rzeczywisty problem w wielu państwach na całym świecie?

Taka wytyczna została przyjęta na sesji Forum obradującej w UNESCO w 1987 roku. Uczestnicy potwierdzili przede wszystkim prawo każdego człowieka, a zwłaszcza człowieka najuboższego, do tego, aby czuł, że jest traktowany jak istota ludzka. Potwierdzili jego prawo do spotkania się z innymi ludźmi, którzy dadzą mu dowód braterstwa, dzieląc jego życie i uczestnicząc w jego zmaganiach. To właśnie nazwaliśmy inwestowaniem człowieka w człowieka. „Nawet jeśli już nikomu nie wierzysz, bo zbyt często byłeś pozostawiony samemu sobie, to ja stoję przy tobie, by ci dowiedzieć, że jesteś moim bratem, godnym zaufania i wzięcia na siebie odpowiedzialności”.

Żadna kultura, jak się wydaje, nie wyklucza tego, że istnieją mężczyźni i kobiety, angażujący się wobec ludzi, w których nędza zniszczyła ufność we własne możliwości, wiarę we własną tożsamość, a także w solidarność społeczną. Nędza, a byłem jej świadkiem przez całe moje życie, powoduje nieuchronnie, że wiara w siebie, w bliskich, i w ogóle w ludzi, jest podkopywana z każdym dniem. Wszędzie, tak na Północy, jak i na Południu, najubożsi są społecznościami, które mają za sobą długą historię powolnej utraty pewności siebie i nadziei związanej z bliźnim; ich nadzieja z roku na rok coraz bardziej kurczyła się, gasła...

Z upływem lat miałem możliwość przekonać się, że doświadczenie to jest udziałem ludzi na całym świecie, i że wszyscy są w stanie zrozumieć, iż człowiek wart jest najwyższej ceny dla drugiego człowieka. Dla tego, kto wierzy w człowieka, człowiek najuboższy ma absolutne prawo oczekiwać, by inni zaangażowali się w jego sprawie. „Człowiek jest lekarstwem dla człowieka”, mówią nasi przyjaciele z

Afryki. Z tego punktu widzenia, powołaniem i misją wszystkich ludzi – niezależnie od tego, jaką wyznają filozofię czy wiarę – jest oddanie sprawiedliwości najbardziej wydziedziczonym. Czy wraz z przyjęciem takiej perspektywy refleksja i eksperymentowanie w dziedzinie Praw Człowieka nie mogłyby wejść na nową drogę? Bogaci i biedni w ramach jednego kraju, narody bogate i narody biedne w ramach całej ludzkości, wszyscy zyskaliby na tej podstawie szansę doprowadzenia do większej równości jednych z drugimi, i odkrycia wspólnego dziedzictwa, uzasadniającego z punktu widzenia prawa powszechne deklaracje i międzynarodowe konwencje, dziedzictwa, które jest zarazem jedyną gwarancją rzeczywistego ich wprowadzenia w życie przez wszystkich. Świat potrzebuje może nie tyle wykładów na temat Praw Człowieka, ile raczej wspólnego zastanowienia się nad tym, co czyni człowieka samego w sobie, a także wszystkich ludzi razem wziętych – niepodzielną całością, współodpowiedzialnymi za prawa, które sobie wzajemnie przyznają.

Jeśli o mnie chodzi, muszę powiedzieć na koniec, że najubożsi udzielili mi istotnej lekcji na temat owej niepodzielności we wszystkich jej przejawach. Przede wszystkim przekonali mnie, że nie pójdziemy do przodu w naszym rozumieniu skrajnego ubóstwa, jeśli będziemy je rozczłonkować według granic geograficznych. Kiedy oddajemy głos najuboższym, oni sami mówią nam o tym, co ich ze sobą łączy. A mianowicie – niemożność odczuwania dumy ze swej tożsamości, ze swojej historii, to że wzbронiona jest im wszelka przynależność, która nie jest negatywna czy wręcz upokarzająca. Mówią nam, na wszystkich kontynentach, że braterskie współżycie z innymi ludźmi nie jest dla nich możliwe tak długo, dopóki ci drudzy nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Nieubłagany skutek nędzy, jakim jest niestabilność i nietrwałość, tak życia indywidualnego, jak i rodzinnego, poka-

Najubożsi odkrywają przed nami niepodzielność Praw Człowieka 105

zał mi namacalnie, że podstawowe prawa człowieka są niepodzielne, i że tym ludziom należy je przyznać w całości, jeżeli chcemy, żeby zyskali wolność.

I jeszcze jedna rzecz, być może najważniejsza. We wszystkich krajach ludzie dotknięci skrajnym ubóstwem wyrażają przekonanie, że żyć jak człowiek, jak brat, jak obywatel, znaczy móc być za siebie odpowiedzialnym. Dla nich fundamentalne prawa mają prawdziwy sens i są w pełni urzeczywistnione dopiero wówczas, gdy zapewniają im odpowiedzialność, to znaczy status uznanych pracowników, rodziców będących w stanie wychować swoje dzieci, użytecznych członków wspólnoty, mężczyzn i kobiet uczestniczących w postępie swego kraju. Tak więc ukazują nam nie tylko niepodzielność praw i odpowiedzialności, ale także współodpowiedzialność wszystkich, co oznacza, że cała ludzkość i wszystkie narody są niepodzielną całością. Według najuboższych, wszyscy ludzie mają udział w tej samej misji, jaką jest wkład we wspólnotę narodową i międzynarodową, „w której nasze dzieci mogłyby żyć”, „gdzie wszyscy podaliby sobie ręce”... Zapewnienie każdemu udziału w takiej misji wydaje się czymś do wyobrażenia, w świetle koegzystencji wszystkich wewnątrz Narodów Zjednoczonych.

Czy zatem przyszłość Praw Człowieka nie rozstrzygnie się ostatecznie dzięki najuboższym i misji, jakiej pragną się podjąć wraz z nami? Jeśli chcemy wcielić Prawa Człowieka w życie, mamy oto propozycję nowego przymierza i mamy nowych partnerów. Jest to dla świata wielką szansą, byle byśmy mieli wolę tę propozycję przyjąć.